

HOW  
DOES IT  
FEEL?



JENEANE O'RILEY

HOW  
DOES IT  
FEEL?

ŚWIATŁO I MROK  
TOM 1

Przełożyła ZUZANNA BYCZEK



Tytuł oryginału: *How Does It Feel?*

Copyright © 2023 by Jeneane O'Riley  
All rights reserved.

Projekt okładki: Cat at TRC Designs  
Zdjęcia wykorzystane na okładce: © Gerard/Adobe Stock, © maykal/Adobe Stock,  
© dule964/Adobe Stock, © tomert/Depositphotos, © alexlab/Depositphotos

Copyright © for the translation by Zuzanna Byczek

Redakcja: Iga Wiśniewska  
Korekta: Sara Szulc, Joanna Czarkowska  
Skład i łamanie: Robert Majcher  
Adaptacja okładki i stron tytułowych: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Copyright for the Polish edition © 2024 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.  
Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-385-3

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2024

Adres do korespondencji:  
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.  
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a  
01-527 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)  
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)  
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)  
[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

Druk i oprawa: Read Me

Wydrukowano na papierze Creamy 70, dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

## Nota od autorki

Chcę, by ta książka przyniosła Wam ogromną radość. Chcę, byście uciekli do magicznej, choć okrutnej, krainy czarów przepelnionej świetną zabawą, ale nie kosztem Waszego zdrowia i dobrego samopoczucia.

Dlatego ostrzegam, że treść miejscami może się okazać trudna dla niektórych czytelników, ponieważ zawiera (lecz się do nich nie ogranicza) takie elementy, jak: przemoc (fizyczna, psychiczna, emocjonalna, werbalna), porwanie, śmierć i umieranie, choroba psychiczna, kości, hospitalizacja, profanacja, węże, seks, trucizny. Jeśli jednak zdecydujecie się na lekturę (strzelam palcami i obracam się w Waszą stronę w wielgachnym krześle), życzę Wam mnóstwa przyjemności z czytania pierwszej części serii „Światło i Mrok”.

Jeneane O’Riley



*Tobie. Mam nadzieję, że zapamiętasz tę książkę na długo.*

## PLAYLISTA

Bad Omens – *Like a Villain*

Bad Omens – *The Death of Peace of Mind*

Deftones – *You've Seen the Butcher*

Thrice – *Black Honey*

Memphis May Fire – *Make Believe*

(Rozdział 28)

Eternal Eclipse – *Reach*

Eternal Eclipse – *Inferia*

(Rozdział 29)

Eternal Eclipse – *Born from Ashes*



## POCZĄTEK KOŃCA

*Callie*

P odłoga w lochu była wilgotna i z trudem udawało mi się utrzymać maleńkie kawałeczki sera na minitacce do podawania potraw. Właściwie była to cegła wyjęta z muru, a nie prawdziwa tacka, ale odwiedzającemu celę szczurowi raczej to nie przeszkadzało.

Zaśmiałam się na wspomnienie słodkiego pyszczka szatkującego okruchy krakersa z miodem, którego zostawiłam mu z wczorajszego posiłku. I natychmiast zastygłam z przerażenia. Zganiłam się w myślach za ten śmiech.

On nie lubił, kiedy wydawałam dźwięki. Wtedy się budził. Ostrzegał, że jeśli będę hałasować, znowu zrobią mi krzywdę. Wcisnęłam ciało w wątpliwe schronienie ciemności zalegających w kącie celi.

Moje palce odnalazły otwartą krwawą ranę na głowie, która dobitnie przypominała, do czego jest zdolny.

Wsunęłam jeden palec głębiej, wstrzymałam oddech i cała się naprężyłam. Zagryzłam zęby na obręczy obejmującej nadgarstek, żeby stłumić krzyk. Poczułam w ustach metaliczny smak krwi zmieszany ze smakiem żelaznych kajdan.

Świetnie, nadal coś czułam. Napięte mięśnie odrobinę się rozluźniły.

Pod wpływem tego nieznacznego ruchu łańcuch spinający okowy głośno zabrzączał.

Zamknęłam oczy. Natychmiast otoczyła mnie ciemność, tylko pod mocno zaciśniętymi powiekami zamigotały plamki światła. Czułam dotyk twardego kamiennego muru. Przywarłam do niego z całych sił, marzyłam, żeby mnie połknął, zabrał z tego przerażającego lochu.

Czy go obudziłam?

Z oczu popłynęło mi kilka łez, cała dygotałam.

„Kurwa. Kurwa”.

Trzęsałam się tak mocno, że teraz się bałam, by nie wyrwało go ze snu grzechotanie moich kości.

„Siedź cicho albo się obudzi i znowu zrobi ci krzywdę”.

Chciałabym wiedzieć coś więcej. Zaczynałam kwestionować własną tożsamość. Jakby w jedno ciało wepchnięto dziesięć wersji mnie i z każdym dniem czułam coraz większą dezorientację.

Chciałabym choć przez chwilę po prostu być sobą. Już zapomniałam, jak to jest.

Na razie panowała cisza. Odetchnęłam z ulgą i znów skupiłam uwagę na tacy służącej do serwowania posiłków szczirowi.

Oczywiście mogłam mieć nadzieję, że wieczorem przyniosą mi chleb, szczerze jednak w to wątpiłam.

Wstrzymując oddech, przełożyłam nogi nad zardzewiałym łańcuchem łączącym kajdany i szeroko rozłożyłam ręce, tak by grube ogniwa otoczyły moje plecy i już nie wydawały żadnych dźwięków. Przesunęłam cegłę z okruchami pod mur, tam, gdzie wcześniej tkwiła. Usiadłam obok i cierpliwie czekałam, aż w otworze pokaże się wytęskniona istota. Tylko dzięki niej nadal nie postradałam zmysłów. Tylko na nią jeszcze czekałam.

Po chwili zjawił się wielki, brudny, bury szczur.

– Tak się cieszę, że wróciłeś – wyszeptałam z podekscytowaniem, prawie bezgłośnie. Ledwo miałam odwagę poruszać wargami, żeby nie narobić hałasu.

Szczur strzelił na boki oczami przypominającymi czarne paciorki, wyminął tacę z poczęstunkiem i wskoczył mi na kolana. Dzisiaj wydawał się większy. Ciemne futerko jakby się zagęściło. Całkiem zwariowałaś czy naprawdę nabrał muskulatury?

– Mówiłem, żebyś nie odkładała dla nas jedzenia. Chcę ci pomóc w ucieczce, nie oczekuję, że będziesz mnie karmić – wyszeptał szczur, po czym wspiął się na moje ramię i pogładził pyszczkiem szyję.

Poczułam muskanie miękkiego futerka. Był taki ciepły i suchy, zupełnie inny niż cały ten loch.

– Zabierz jedzenie dla reszty. Chcę wiedzieć, że najadacie się do syta – nalegałam, wciąż bardzo, bardzo cichym głosem, nie dlatego, że chciałam zachować naszą rozmowę w tajemnicy, ale ze względów ostrożności.

Wiele razy powtarzał, że zamkowe szczury mają dobrą opiekę, ale nie mogłam znieść myśli, że jakieś stworzenie w tym koszmarnym miejscu być może cierpi głód.

– Nic nie mów, proszę. Nie chcę, żeby znów zrobili ci krzywdę – odpowiedział szeptem jeszcze delikatniejszym niż wcześniej. – Którykolwiek z nich. – Urwał i spojrzał w przeciwległy kąt ciemnej celi. – Przeszedłem cię poinformować, że on tu zaraz będzie i że cię zawiodłem. Ale nie poddawaj się, proszę. Znajdziemy sposób... – Nagle przenikliwie pisnął, zbiegł z mojego ramienia i z donośnym chrząknięciem czmychnął do dziury. W tej samej chwili rozległ się głuchy huk – w ścianę uderzył wielki kamień, dosłownie o milimetr mijając łysy szczurzy ogon.

A więc się obudził.

Odkoczyłam do tyłu, choć oczywiście nie mogłam w ten sposób powiększyć odległości dzielącej mnie od potwora. Szybko przełożyłam nogi nad łańcuchem wiążącym moje nadgarstki, żeby swobodnie poruszać rękami. Chociaż i tak nie mogłam się bronić.

– Co ja mówiłem, istoto ludzka? Czy nie ostrzegałem, co cię czeka, jeśli mnie obudzisz? – zadudnił niski, ochrypy głos.

Brzmiał przerażająco. Ani za cicho, ani za głośno, akurat tak, by postawić wszystkie zmysły w stan alarmu i zmienić kości w miękkie szmatki. Żaden człowiek nie potrafi wydać takiego dźwięku.

No tak, ale to nie był człowiek.

Z potężnym drzeniem zmienił się z powrotem w stwora przypominającego pieniek, ledwo sięgającego mi do pasa. Miał wydłużony tułów pokryty czymś na kształt kory, wściekłą śniadą twarz, a ramiona i nogi porośnięte na końcach głośno szeleszczącym listowiem. Wlepił we mnie wielkie, czarne, pozbawione wyrazu oczy. Poniżej ział otwór gębowy.

– Prze-przepraszam. Błagam, połóż się i zaśnij, już będę cicho, przysięgam – wydukałam. Każdą cząstką napiętego ciała pragnęłam, by mnie posłuchał.

Znowu zadrżał i wypuścił gałęzie, ostro zakończone i pokryte cierniami.

– Pójdę spać, jak już cię zabiję i wykorzystam, długo i powoli, ludzka szmato – wychrypiał stwór zwany leśnym bagnikiem, po czym ruszył ku mnie.

Ciernie zgrubiały i skierowały się do przodu, gotowe wbić się w moją skórę jak haczyki w ciało ryby.

– Proszę! – krzyknęłam.

Jeszcze mocniej wcisnęłam plecy w mur. Skąpa czarna sukienka nie chroniła mnie przed jego chłodnym dotykiem.

– To jeszcze jej nie zabiłeś? – zagrzmiał głęboki głos. Drzwi celi się otworzyły i do środka wszedł on.

Towarzyszyło mu chyba z piętnastu uzbrojonych strażników. Z wyraźną niechęcią zrobił krok do przodu.

Bagniak natychmiast się skurczył, schował ciernie i wrócił do postaci kamienia.

– Panie, lepiej nie zbliżać się do zabójczyni. Wyciągniemy ją stąd. Wyjdź stąd, proszę! – zawołał jeden ze strażników, zachodząc drogę ogromnemu umięśnionemu elfowi.

Ten nagle jakby się ocknął i pospiesznie opuścił celę. Obserwował mnie zza krat, gdy strażnicy weszli do środka.

– Proszę, nie! – krzyknęłam, ale oni mnie chwycili i otoczyli ścisłym kręgiem. Wywlekli mnie z ciasnej celi na oświetlony pochodniami korytarz.

– Dokąd, panie? – zapytał inny strażnik. Tamci wciąż tłoczyli się dokoła, tworząc zaporę między mną a księciem z Mrocznego Dworu, jednocześnie zmuszając mnie, bym za nim szła.

– Do krwawej komnaty. Dość mam tej przedstawicielki ludzkiej rasy. To idealne miejsce, by pomalować ściany jej śliczną posoką.

## 2

# TROCHĘ WCZEŚNIEJ

## *Callie*

Przesunęłam rękami po ciepłym od słońca skórzanym obiciu kierownicy, modląc się w myślach.

Stara furgonetka wydała z siebie charkot i zadrzała. Odetchnęłam z ulgą, a potem zjechałam niżej na fotelu. A więc nie zniszczę sobie reputacji. Zero spóźnień, zero zwolnień na ostatnią chwilę.

Robiłam dobrą robotę.

Samochód ruszył. Pod kołami zatrzeszczały gałązki, które spadły na kręty żwirowy podjazd. Po chwili mój uroczy domek został z tyłu. No dobra, może „domek” to lekka przesada... podobnie jak „uroczy”. Ale słowo „chata” kojarzyło mi się ze starą budą myśliwską pośrodku niczego. A mój dom był znacznie, znacznie ładniejszy. Kupiłam go dwa lata temu niemal za bezcen, od pewnego wdowca obdarzonego pokaźnym brzuchem, łysiną i skłonnością do zabijania większej liczby mulaków białoogonowych niż pozwalała mu na to licencja. Czy próbował mnie przekupić? Pewnie tak. Chodziły słuchy, że umawiam się ze strażnikiem łowieckim, a w tak małym miasteczku ludzie zrobią wszystko dla dodatkowych korzyści, zwłaszcza jeśli chodzi o liczbę pozwoleń na mularki. I może nawet nie miałabym im tego za złe, tyle że pozwolenia

wprowadzono w celu kontrolowania populacji dzikich zwierząt. Kiedy zaś ludzie uznają, że sami potrafią ocenić, ile sztuk wolno im odstrzelić, wszelkie wysiłki związane z ochroną przyrody, o statystykach nie wspominając, biorą w łeb i zaczynają się kłopoty. Zresztą próby przekupstwa nie miały większego znaczenia, bo i tak nie spotykałam się z Cliffem, a sam Paul Bebzun zmarł kilka dni po tym, jak kupiłam od niego dom.

Na wspomnienie Cliffa, przystojnego strażnika łowieckiego, moje dłonie mocniej zacisnęły się na kierownicy. Szybko jednak wzięłam się w garść. Nigdy nie byliśmy na randce i tak miało pozostać. Kiedy zjawiłam się tu jako specjalistka od ochrony przyrody zatrudniona na państwowej posiadzie, Cliff przywitał się ze mną jako jeden z nielicznych lokalsów. Reszta nie życzyła sobie, żeby jakaś nadęta, pretensjonalna pańcia wtykała nos w ich sprawę (dosłownie taką uwagę usłyszałam na własne uszy w Sizzle-rze w Maulberry), przyjeżdżała do ich ukochanego grajdołu, zakazywała wyrywania trojeści i uszczelniała pozwolenia łowieckie. Oprócz Cecelii z ośrodka rehabilitacji zwierząt byłam jedyną kobietą pracującą w parku stanowym i większość mężczyzn nie traktowała mnie poważnie, a tych, którzy mieli odmienne zdanie, spotykały oskarżenia o romans ze mną. Zapewne jest to typowe dla małych miasteczek.

Wprawdzie nie przypominam sobie, żeby w moim panowała tego rodzaju mentalność, ale wyjechałam stamtąd jako dziecko.

Liczyłam sobie dwadzieścia dziewięć lat, nie miałam męża ani dzieci, miałam za to jasne włosy do pasa i całkiem niezłą figurę (spróbujcie łaźić dzień w dzień po tych górkach), więc lokalne kobiety chyba uznały, że przybyłam tu, by przeprowadzić tajną akcję i odebrać im zapuszczonych, mizoginistycznych, wsiurskich mężusów lub też zgarnąć wszystkie dostępne wolne sztuki we wrangle-rach i z nieodłącznym tytoniem pod dolną wargą. W sumie, jak tak pomyśleć, była to całkiem pochlebna teoria. Ale cóż, minęły

dwa lata, a ja wciąż musiałam o tym myśleć. I z czasem ta opinia coraz mniej kojarzyła mi się z komplementem, a coraz bardziej... z samotnością.

Rozważałam, czy nie zatrzymać się na kawę na lokalnej stacji benzynowej, ale ostatecznie zdecydowałam, że to zły pomysł. Nie chciałam ryzykować, że furgonetka znów nie zapali. Zresztą kawa nie należała do najlepszych, nawet jak na standardy stacji benzynowej, a gdybym miała tam siedzieć i znowu słuchać, jak miejscowi gadają o Szurniętym Earlu, lokalnym pijaczku tropiącym Wielką Stopę, chyba wolałabym od razu rzucić pracę i wyjechać.

Na szczęście zwykle towarzyszył mi Cliff, który potrafił ich trochę uciszyć. Nie znosił Szurniętego Earla. Nie miałam okazji oficjalnie poznać tej sławnej osobistości, ale słyszałam tyle historii na jego temat, że mogłabym napisać książkę.

Zanotowałam sobie w pamięci, że powinnam sprawdzić las za stacją benzynową pod kątem występowania *Amanita muscaria*. Pod tą nazwą kryje się muchomor czerwony, trujący grzyb, który spożywany w odpowiednio małych ilościach nie zabija, lecz sprawia, że człowiek zachowuje się jak... szurnięty. A Earl niemal nie wychodził z tego lasu. Już chciałam zawrócić, by przekonać się, czy moje przypuszczenia są słuszne, gdy nagle przez drogę przemknął kłębek brązowych piór zakończony długą szyją.

Gruchot przyhamował gwałtownie z piskiem opon, w ramach protestu wypuścił chmurę czarnego dymu rozmiarów słonia i zgąśł. Humorzasty potwór ze śrub i metalu, gorszy niż facet.

– Psiakostka, Dorothy! – Zatrzasnęłam drzwi furgonetki i ruszyłam piaszczystą drogą w stronę indyczki, mojej nieustępliwej prześladowczyni.

Na szczęście byłam już na podjeździe prowadzącym do ośrodka rehabilitacji, postanowiłam więc, że gruchotem zajmę się później. Dorothy biegła pośród wysokich pałek trzciny jak brzdąc, który wyrwał się rodzicom. Miała szczęście, że nie wpadła pod samochód



i teraz tylko z powodu swojego uszkodzonego skrzydła płąsała do koła jak marna instruktorka zumbi.

Upewniłam się, że nic nie jedzie, chociaż wiedziałam, że nie, ponieważ droga prowadziła do tylnego wejścia. Pacnęłam na zwirową drogę z wdziękiem budyniu, starając się nie patrzeć w lewo, na dymiącą furgonetkę. Może jeśli na chwilę o niej zapomnę, to jednak się uruchomi?

Ale nie nacieszyłam się odpoczynkiem, bo zaraz przybiegła indyczka i zaczęła wchodzić mi na kolana. A gdy osiągnęła swój cel, z długiej szyi dobiegły radosne kwiki i gulgoty. Mimo woli się uśmiechnęłam. Należała do moich pacjentów z ośrodka. Wprawdzie zajmowanie się zwierzętami nie figurowało na liście moich obowiązków, ale ponieważ był tu tylko jeden weterynarz, często służyłam pomocą w tej dziedzinie. I nie miałam nic przeciwko temu, bo znacznie bardziej opowiadało mi towarzystwo zwierząt niż ludzi.

– Właśnie szłam cię odwiedzić. Nie musiałaś znowu uciekać. Ciesz się, że cię nie przejechałam – zgaśniłam Dorothy, wpatrując się we mnie paciorkowatymi oczami, i przytknęłam nos do jej szyi. Nagle usłyszałam chrupanie żwiru pod kołami i mocniej ją objęłam.

Podniosłam się z ciężką pacjentką na rękach, ostrożnie, pamiętając o uszkodzonym skrzydle, i zesłam na bok. Nawet się nie obejrzałam, przekonana, że to Cecelia szuka zbiegłej pacjentki.

– Wisisz mi piąta – odezwał się męski głos.

Od razu zidentyfikowałam jego właściciela, jeszcze zanim zobaczyłam pikap strażnika łowieckiego.

– Niczego ci nie wiszę, Cliff. Jeśli jesteś tak głupi, żeby się zakładać z Cecelią, to raczej ty powinienes mi oddać pięć dolarów – odparowałam z szerokim uśmiechem i podeszłam do szarego forda z przystojniakiem wychylonym z okna.

Wyglądaliśmy w naszych identycznych mundurach w odcieniach khaki i zieleni tak odmiennie, jak to tylko możliwe. Ja w swoim tonęłam jak w za dużej koszuli ukradzonej ojcu, Cliff zaś prezentował

doskonale opięte atletyczne ciało niczym model z katalogu najnowszych ciuchów outdoorowych.

Przystojniak zerknął zza awiatorów w złotych oprawkach i wyciągnął rękę, żeby pogłaskać Dorothy po szyi. Najpierw się nastrożyła i cofnęła, w końcu jednak łaskawie pozwoliła na pieśczo-otę.

– W życiu czegoś takiego nie widziałem – stwierdził ze stuwatowym wyszczerzem przyklejonym do nieogolonej twarzy.

Czasem niesamowicie przypominał mi mojego najlepszego kumpla z rodzinnych stron. Coś w tym sympatycznym sposobie... Natychmiast kazałam sobie przestać.

Nie chciałam odgrzebywać teraz wspomnień o tym człowieku.

– Czego niby? – zapytałam, rozglądając się.

Bursztynowe słońce zaczynało nieźle grzać, czułam kropelki potu na linii włosów. Pomyślałam, że zaniiosę Dorothy do klimatyzowanego wnętrza albo wypuszczę ją do cieniatego lasu. Zapowiadał się upalny dzień, rowek między moimi cyckami już nieprzyjemnie spływał wilgocią.

– Czegoś takiego jak ty, Callie. Wszystkie stworzenia do ciebie lgną, nawet te dzikie. Jesteś jak jakaś zakichana księżniczka Disneya. – Uśmiechnął się i rzucił mi spojrzenie sugerujące, że nie tylko indyki łakną mojego towarzystwa.

Nerwowo przestąpiłam z nogi na nogę. Zastanawiałam się, jak by tu uprzejmie wyjaśnić Cliffowi, że wołałabym iść na randkę z Dorothy niż z nim. Nie żebym miała coś przeciwko niemu, był fajny jako znajomy. Po prostu nie zamierzałam utknąć na wieczność w tym miasteczku, a poza tym z zasady nie wdawałam się w romanse z kolegami z pracy.

– Ona raczej nie jest dzika – zauważyłam, trącąc nosem szyję Dorothy.

Przyszła na świat z niesprawnym skrzydłem i od pisklaka mieszkała w ośrodku. Ale moje starania przynosiły efekty, a zamierzałam wypróbować jeszcze kilka pomysłów, jak ten feler naprawić.

– Muszę ją zabrać do środka. Widzimy się później?

Ruszyłam w stronę budynku, ale nagle drogę zagrodziła mi tylna część pikapa.

– A jak zamierzasz wrócić do domu, mądralo? Chcesz wyhodować sobie skrzydła i pofrunąć? Twoja furgonetka ostatecznie padła. Mówiłem już miesiąc temu, że jazda nią to spore ryzyko. – Wciąż powoli się cofał, świdrując mnie wzrokiem, z arogancko uniesionymi brwiami.

– Na szczęście nie słucham wszystkiego, co mówisz – burknęłam.

– Wsiadaj, podwożę was. – I w końcu zatrzymał się pośrodku drogi, kompletnie blokując mi przejście.

Kiedy wsiadłyśmy, Dorothy znów się nastroszyła, ale czekała nas bardzo krótka podróż i wiedziałam, że nic jej nie będzie.

Dwie minuty później zajechaliśmy pod tylne wejście. Pomalowane na biało cegły lśniły w słońcu. Na parkingu od frontu stały tylko dwa samochody, w tym jeden należący do Cecelii. Wysiadłam i stwierdziłam, że całe spodnie mam w indyczych kupach.

Wspaniale.

Postawiłam winowajczynię na ziemi i zaczęłam się wycierać, groźnie na nią lypiąc, żeby wiedziała, jaka jestem niezadowolona.

– Dokąd się wybieralesz? Nad jezioro? – zapytałam Cliffa i dopiero wtedy zauważyłam, że gada przez telefon.

– Don, stało się. W końcu się rozkraczył. – Obrócił się w moją stronę z szerokim wyszczerzem. – Ja wiem, jej to powiedz. Mnie za nic nie chce słuchać. Może przyślesz Wally’ego, żeby zabrał tego rzęcha? No weź, stary, zrób to dla mnie. Napraw grata, to w przyszłym tygodniu zabiorę was obu na ryby. W moje specjalne miejsce. – Przewrócił oczami i się rozłączył. – Teraz to naprawdę wiesz mi kolację. – Znowu się wyszczerzył, a z dodatkiem szczypty arogancji jego ogorzała twarz nabrała wyjątkowego czaru.

– Zapomnij o kolacji. Ja też chcę zobaczyć to twoje specjalne miejsce. Nie wiem, czy wiesz, ale prognozuje się, że przyszedł wiosny

populacja bassów spadnie o trzynaście procent – rzuciłam oskarżycielskim tonem.

Przewrócił oczami.

– Ciebie na pewno tam nie zaprowadzę. Jeszcze zabronisz mi wędkować! – wykrzyknął z udawaną rozpaczą.

Jak na strażnika łowieckiego miał zdumiewająco swobodne podejście do ochrony przyrody. Nic dziwnego, że musieli mnie zatrudnić.

– Głuptasie, nie zamierzam zakazywać ci wędkowania. Chcę obejrzeć to miejsce. Jeśli bassy dobrze się tam mają, może dałoby się odtworzyć tamtejsze warunki i w ten sposób zachęcić ryby do rozmnażania. – Przy tych słowach poczułam piekący rumieniec na twarzy. – Dzięki, że zadzwoniłeś do Dona. Ostatnim razem powiedział, że szybciej podpali tego gruchota, niż znowu będzie go holał. – Uśmiechnęłam się na wspomnienie zeszłorocznych wydarzeń.

– Wiesz, władze stanowe nie są takie złe, na pewno z radością przyznałyby służbowy samochód pewnej przemyślnej paniusi, gdyby tylko miały pewność, że zostanie tu na dłużej. – Mówił szorstko i burkliwie, z nieznacznym wsiurskim akcentem słyszalnym tylko przy ostatnich sylabach.

– Ale wzorce migracji monarchy nie będą na mnie czekać. – Strzepnęłam z rękawa zaplątane indyjskie piórko. – Jak tylko zadzwonią, ruszam do Meksyku, bejbi!

Jeszcze nie zdążyłam dokończyć zdania, a już wyczułam zmianę energii. Przypomniałam sobie, dlaczego tak trudno znaleźć przyjaciół, kiedy wciąż się przenosisz.

Nie rozumiem, dlaczego wyjeżdżasz.

Pokonałam betonowe stopnie prowadzące do tylnego wejścia i już miałam otworzyć wielkie aluminiowe drzwi, gdy Cliff dorzucił:

– Przyjadę po ciebie o szóstej, Callie Peterson. Powiem Tomowi, żeby zostawił tu jeepa, gdybyś chciała się pokręcić po okolicy.

– Jeśli Tom zostawi dla mnie jeepa, to na co mi będziesz potrzebny? – Posłałam mu uśmiech i pociągnęłam za wielką metalową klamkę, by wpuścić Dorothy do środka.

Cierpliwie odczekała, aż służąca z gatunku *homo sapiens* otworzy drzwi na tyle szeroko, by zmieściło się w nich spore pierzaste ciało, a wtedy dumnie wkroczyła do środka, jakby budynek był jej własnością.

– Na to, że dziś wieczorem zabieram cię w moje specjalne miejsce. Weź te swoje kujońskie notesiki, a ja wezmę dla ciebie wędkę. Życzysz sobie kanapkę z pepperoni? – zawołał, wycofując samochód. Najwyraźniej nie uznawał mojego ewentualnego „nie” za prawomocną odpowiedź.

Przewróciłam oczami tak mocno, że prawie się zacięły.

– Podwójne pepperoni, skoro stawiasz!

Nie chciałam go zwodzić ani robić mu fałszywych nadziei, ale miałam tak nielicznych znajomych, że chociaż starałam się trzymać wszystkich na dystans, czasem jednak doskwierała mi samotność.

– Callie Peterson, skończ już te flirty i chodź tu natychmiast! – Starczy głos Cecelii, zabarwiony nutą rozpacz, odbił się echem po całym budynku.

– Już idę. Co się dzieje?

Zapędziłam Dorothy do kojca, który nie był zamykany od góry. Zauważyłam kilka piór na podłodze. A więc wyfrunęła! A to znaczyło, że smarowidło, które opracowałam w zeszłym tygodniu, naprawdę działało!

Z podekscytowania mało się nie wywaliłam. Wpadłam do środka przez podwójne drzwi... i wrzasnęłam dziko.